9523

Bibl. Jag.

III

Сеєть нрозмиєт Уаше Князя,
Ґєє Гоєїу – днєг нєдо ґрєха.

W roku 1858 — 59 zaczęło się u nas nieco bliżej robić pod względem policyjnym, mianowicie zaczęto wydawać z powiecie „przepustki" do Sandomierza na odpust, co dawniej wcale nie było dozwolonem. To też ludzie się rwali na te pielgrzymki z blizka i zdala, przeważnie od Dęby i Rozalina. Tam już były zaprowadzone bractwa n.p. Różańca, i ci ludzie byli pyszkadni i religijni.

Wtenczas z Sandomierza istniało ~~jeszcze~~ sześć kościołów ~~(oto ale 1864)~~: Katedra*), kościół parafjalny pod wezwaniem św. Pawła na górze na zachód, nieco bliżej kościół starożakonny św. Jakóba z klasztorem OO. Dominikanów, pamiętny wymordowaniem przez Tatarów 49 zakonników z błogosławionym Jackiem, z miejscia tuż od bramy Opatowskiej kościół św. Ducha z klasztorem Szarytek, ~~nie-~~ ~~o dalej~~ i z szpitalem, dalej na północ za miastem kościół i klastor Benedyktynek i wreszcie na górze na zachodzie kościół z klasztorem OO. Reformatów, ~~który latem i~~ gdzie też był Nowicyat ~~z~~ z przygotowaniem zakonników na księży.

Zakon Reformatów był bardzo ubogi i umartwiony. Reformatorzy latem i zimą nie nosili obuwia tylko drewniaki pod podeszwą, przypasane do nóg rzemykami, a niektórzy z nich nie nosili koszul, a w nowicyacie obowiązkowo przez jeden rok i sześć tygodni, tylko włosiennicę na gołem ciele, to też skóra na nich była tak od włosia zerwięta, jakby tę sorsta. Żyli z ofiar. Raz jednemi rozchodzili się na kwestę w okoliczne wsie i dwory i przypędzali do klasztoru całe stada owiec i gęsi. Kobietom do ich cel nie wolno było wejść; jeżeli się która czasem zabłąkała na kurytarz, natenczas chwytało ją dwóch zakonników za ramiona

i tak wypowiadali, a trzeci ją poganiał,
po plecach smagając pasem św. Franciszka.
Tam miałem dużą majowkę, nieco później dono-
siłem im skrycie pisma i gazety. Do spo-
wiedzi tam najczęściej chodziłem; skoro-
wrócił Ks. Grandjanowi, zaraz polecił Ks. Karno-
wiei mię wyspowiadać, a potem zaprosił na
śniadanie i na piwo. Do Dominikanów
też przenosiłem pisma, ale tam miałem
mniej powodzenia niż u Reformatów.

W roku 1860. jakiś duch religijno-patryotyczny ~~ogarnął~~ ogarnął wszystek naród w Polsce – pod Moskalem – ale to bez wyjątku wszystkie klasy. Zaczęli nosić polskie stroje: czamary i rogatywki; rozpoczęły się pielgrzymki, szły kompanie ludzi z chorągwiami i księdza na czele. Gdy takie kompanie przychodziły do Sandomierza, z katedry wychodził ksiądz, młody mężczyzna i panna z chorągwiami (takie dwie chorągwie stały przed prezbyterjum w katedrze) w narodzie stojącem; on w czamarze, rogatywce i w butach z cholewami, na które do połowy opuszczone były spodnie; dziewczyna po miejscu tylko przyzwoicie, w bieli, bez zarzutki, pas na koszuli przykle z koronką, głowa odkryta, włosy splecione w jeden warkocz, u którego na końcu wstążka i pod szyją wstążka czerwona; w koszuli na piersiach zapięta spódnica z białym orłem. Na chorągwiach obraz Matki Boskiej Częstochowskiej; wokoło którego napis „Pod Twoją obronę uciekamy się", a na drugiej stronie orzeł biały z napisem „Jeszcze Polska nie zginęła". Z nimi wychodziła po kompanie miejscowa kapela. Po przyjściu się księdza intonował „Boże coś Polskę" i tak wprowadzał pielgrzymki do katedry. Nadchodziła druga trzecia i dalsza ~~kup~~ kompania, to po kolei z taką samą paradą wychodzili i wprowadzali do katedry.

Nieopodal kościoła Reformatów był cmentarz do dzisiaj istniejący, na którym grzebała się za dobrą opłatą szlachta i tam było pełno pomników i nagrobków.

Kiedy moskale poczęli się już nucać na procesye i pogrzeby krzyż, zaczęto na tę pamiątkę stawiać krzyże z drzewa. Na wspomnianym cmentarzu postawili taki krzyż i cały ubrano w zieleń, a dookoła zawieszono lampy. Wieczór po ułożeniu nabożeństwa w katedrze

/

szli ludzie na cmentarz ten, który był oświe-
tlony zgniście, zwłaszcza krzyż pamiątkowy,
i tam jeden z ojców Reformatów odmawiał z
ludem błagalne modły i śpiewy za Polskę, potem
już z nowej szli znowu do kościoła Reformatów
i tam kapłan z nowa kościelne nabożeństwo odśpie-
waniem religijno-narodowych pieśni.

Księża podczas kazań wstępowali otwarcie i dziwna,
że władze na to wszystko patrzyły obojętnie, jakby
zgrodnie.

W roku 1863. władze wzięły zakonników
(Reformatów i Dominikanów), cmentarz ~~tam~~
ten zburzyły do szczętu, a mury i pamiątki
pozniszczyły - i kto go nie znał, tobym nie uwie-
rzył teraz, że z tem miejscem istniał taki wspa-
niały cmentarz, gdyż nie domówiono nawet
prostemu (miejscowemu) dzisiaj.

U nas z Galicyi z tym razie zaczęła się
młodzież - zwłaszcza szkolna - burzyć, robili
demonstracye, urządzali pochody, - nie obyło
się bez aresztowań. Kiedy z kościele z wieży
lub innemu cesarza zagrali hymn „Boże wspie-
raj", młodzież gruchnęła „Boże coś Polskę" i ~~z dy-~~
~~nem pożarów~~ zagłuszyła organy.

Podczas pochodów śpiewano najczęściej
„Boże coś Polskę" i „Z dymem pożarów. Był
wtenczas namiestnikiem Księstwa Mensdorf we
Lwowie, niemiec zabity, który kazał sobie tłu-
maczyć te dwie pieśni na niemiecki. W „Boże
coś Polskę" pytał się, co to znaczy „prochy wolne",
narenoie onezł: „Boże coś Polska, das ist noch nicht so arg
wie das Wort Asche – Z dymem pożar das ist Verbrechen"
to znaczy: Boże coś Polskę to jeszcze nic, ale z dymem
pożarów - to przeklęte.

Taki mniej więcej stan rzeczy trwał do początku roku
1863. Moskal byłby pewno zrobił aresztowania, bo tak
cały naród stanął z jakimś nadzwyczajnym ruchu, ~~że~~
~~się obawiał~~ jakby nie ten nieszczęsny margrabia
Wielopolski, który doradził pobór młodzieży do wojska,
co przyspieszyło powstanie nieprzygotowane należycie.

We mnie drgała ta żyłka i już mieli mnie na
oku. Uczyłem wtenczas dzieci z Germanach, gdy

//

dnia pewnego dostałem list od kolegi wnuka z gimnazyum z Przemyśla, wzywający, bym powrócił do powstania. Przybył do mnie niejaki Cyprjan Markowski, naturalny syn pewnego włościanina z Baraniny, bawił u mnie ze dwa dni, poczem udaliśmy się do Grębowa do nieboszczyka Dolańskiego, który wyprawiał oddziały za granicę. Powiedział nam: Wiele że się nie przyśli wcześniej, bo nowy bohaterem wyprawiłem oddział — zabrali wszystką paszą broń, tylko że mały troche zostało. Ale będzie ze trzy dni u pana Popiela w Sokolnikach, to ja obmyślę jaką nam dać wiadomość. Poszliśmy więc do Popiela, a on mówi: „Przepadło wszystko zdrajcy stanęli na czele powstania i wszystko psuło na marnie. Idźcie do dom i cicho!" Właśnie w tych dniach Moskale przez zdradę Żołnierza, burmistrza Lublina, rozbili najbliżej stojący oddział Franchowskiego pod Stężycą w lubelskiem. Mnóstwo rannych powróciło do Galicyi i tu się mieścili po dworach. U nas w gorzelni w Wymysłowie leżało po kilkunastu. Było to w końcu stycznia. Pomódz Franchowskiego, postrzelonego przez kurz i brzuch, porwali powstańcy i przynieśli do Sandomierza. Tam go nie mogli ukryć, bo szpiegi moskiewskie wyszły wszędzie i coś w czwartem poszukiwaniu go odkryli, zabrali, podczepili — i powiesili w Piotrkowie.

Nie długo ale słychać, że to nic, bo wszędzie są oddziały powstańcze i gromadzą się. Austryacy sami im pierw sprzedawali z magazynu stare karabiny, i kto chciał to nest. Ja znów dostaję drugi list, i na dobitek kapitał zbiera się, ale już żandarmi za mną tropią. Wpadli tam, gdzie dzieci uczyłem; zdołałem jeszcze podnieść z izby dzieci i schować się do pierwszej niemazanej pod podłogę; zabrali mi tylko skarbki patryotyczne, siedzące na ścianie nad łóżkiem. Nie było rady tna się wybrać. Gdzieś w baraninczyńskie mieli się przedrzeć za granicę. — Miałem tu majątku, nieco starszym odemnie kolegów: Kuczyńskiego i Dumę, którym przyrzekłem się, że idę do powstania i odczytałem im wspomniany list, a oni

wówczas gotowość pójść ze mną. Niestety - zdradzili mnie: poszli do naczelnika powiatu (jak teraz starosta), którym był wtedy Białkiewicz, stoch z pochodzenia, i opowiedzieli mu, jak ich namawiał do powstania. Ten dał im po czterdzieści na dzisiejsze pieniądze 66 koleny i polecił, a za mną rozesłał śledztwo. Przyłapali mię wieczorem w drodze poza Tarnobrzegiem i poszedł przed naczelnika; ten kazał mnie zamknąć w osobnej izbie. To było coś w końcu lutego. Przy rewizji na mieszkaniu znaleźli przy mnie jeden list, schowany w kieszeni kamizelki. Przez 7 dni siedziałem sam jeden. Ojciec mój otrzymał za mną do naczelnika, ten go wezwał wymijająco, że mnie wolni, a mnie nie wolno było wcale do protokółu. Ósmego dnia, a było to w niedzielę, zawołano mię znowu z pomiędzy innych więźniów; ojcu pozwolono się ze mną widzieć, naczelnik powiedział mu, że mię wkrótce wolni. - Późno wieczór, kiedy my się już położyli spać, zgrzytnął klucz w zamku, drzwi się otwarły i wszedł klucznik z latarką, a za nim żandarm mówiący, który zawołał mię, żebym szedł z nim na posterunek. Odpowiedziałem krótko i powiedział, że gdybym uciekał, będzie strzelał do mnie. Wyszedł mię poza miasto i sprowadził na posterunek, którego komendantem był wtedy jakiś Johan, co go później w te same lata powtarzy zastrzelili -, leży w Mielcu.

Ów komendant posterunku oświadczył mi przykrem mnie dotyć wypadkiem, oznajmił mi, iż na rozkaz odwiezie mię zaraz do Krakowa, na pod wojenny sąd i że wkrótce nadjedzie „fornpan" i pojedziemy na całą noc do Rzeszowa kolei; natychmiast pytał mię, czym mię głodny, a gdym powiedział że nie, powiedział mię moją fajkę i komisyjnym tytoniem, każąc sobie zakurzyć, co mi wielką przyjemność sprawiło, - skurzyłem już bowiem tydzień, a tu przez cały dni mojego więzienia w Tarnobrzegu nie miałem w ustach. Była tam jego matka, wdowa, kobieta w średnim wieku, akuszerka z zawodu, osobliwie moim rodzicom znajoma,

która wiadomy się mego losu, przyniosła bochenecek białego chleba i kawałek słoniny, prosiła, bym to sobie zabrał, a nadto dała mi gotówką 2 fl. mówiąc, że ona to sobie od mego ojca odbierze, podała mi jednak (obrego) kąsek papieru ~~i ołówek~~, na którym zaręczeniem jej tę przysługę i napisałem kilka słów do moich rodziców, na co komendant pozwolił.

Niebawem nadjechała fura. Komendant się ubrał i uprosił powiedziawszy mi, że na polecenie mię stąd z piekarska z obawy przed ucieczką, ale jeżeli mu dam słowo, że nie będę próbował uciekać, skuwać mię nie będą — co mu też przyrzekłem. Siedliśmy na furę i w drogę. Noc była ciemna, wiatr przeganiał z deszczem i śniegiem — ruszyliśmy; ja byłem ubrany w cywilną mężną, cywilną sukmanę, nie pamiętam z nie odzienie, ale wiatr przenikał się na odzienie, ~~nim~~ chłodem dotkliwym przejmując; była to noc z 10 na 11 marca. Jak przybyliśmy w nocy do Mielca. Żandarm oddał mię dowódcy warty, który osadził mię w areszcie. —

W Kalwarii, do której mię wiedziono, zastałem dwóch uczniów miejscowych, którzy zaraz zaczęli mię męczyć o pieniądze na wódkę, po którą mieli posłać zaraz. Zauważyłem że mój pobyt nie trwał tam. Obawiałem nad godzinę, którą przestałem na uwagach z obawy przed niechlujstwem, jakie tam panowało, bo mógł mię wypuścić — i w dalszą drogę z tym samym żandarmem pojechałem dzierżą furmanką.

Wkrótce zaczęło się rozwidniać, zaczęło padać śnieg. Mróz ~~nie było~~ na tym trakcie nie było jeszcze stały; mógł grząść to w błocie to piaskach, żandarm przepiekał, to mógł wstawiwszy karabin na wozie szedł pieszo naprzód furę kilkadziesiąt kroków. Tu mię chwyciła pokusa, abym porwał karabin i uciekał, ale sobie pomyślałem, że nie znam okolicy, do lasu daleko, żandarm zaś wyprzęże konia i pogoni mnie, a może w pościgu

strzelił do mnie z pistoletu, jaki miał przy sobie w torbie, której nie rozjuczył z siebie. a gdy mnie waleczne pochwycą nazajutrz na dotkliwe kary, a przytem dołem mu słowo, że nie będę uciekał. Rozważywszy to wszystko na prędce odepchnąłem pokusę, zdając się na los. - Gdyśmy się zbliżyli do Jędrzejowa, żandarm spostrzegawszy na zegarek wyjął chłopu leżące z wozu i sam spiesznie popędził konie; - to też szczęśliwie przyjechali na dworzec, wypadł, wziął bilety - i do wagonu, a pociąg w tej chwili ruszył ku Krakowu.

Teraz żandarm odliczył 17 czy 19 centów — nie pamiętam dokładnie — i wypłacił mi mówiąc, że to jest dzienny żołd, jaki od dziś przez czas mego uwięzienia na utrzymanie pobierał będę.

Po kilkugodzinnej jeździe stanęliśmy po południu w Krakowie. Przed wyjściem z wagonu ~~żandarm~~ mój konwojent odezwał się w te słowa: „Słuchajcie Kuroś! Miałem polecenie strzelić was na całą drogę, ale tego nie uczynił; teraz ale wybaczcie, że was zmuszę na ręce żandarmki, bo tu i na mnie czekają. Zgodziłem się i na ten niezwykłego rodzaju; ale te wszystkie przypadki, piąty raz w życiu mię spotykające, tak mię zmęczyły, że wychodząc z wagonu zapomniałem tego bochenka chleba, jedyne niemal pożywienie, wraz z słoniną zawiązane w chustkę, z sobą wziąć, co ~~sobie~~ przypomniałem sobie dopiero na bramie. Takiśmy szli przez miasto na „Stadthauptmannschaft". Wchodzimy do biura; żandarm zdjął mi żandarmkę, schował do torby, przedłożył oficerowi książkę do potwierdzenia odbioru, salutował i odszedł. - Oficer ten, „Stadthauptmann", w randze rotmistrza, przywitawszy mię urągliwym uśmiechem i wyrazem „rebelant", przydzielił mię podoficerowi („führerowi") od piechoty z jakiemś pismem, które mię na dziedziniec do kancelaryi prowadzi odprowadził.

Tutaj, Cesarz, rozkazał najprzód do mnie po cesarsku: „za co pan tu są?". Złożyłem go krótko: „za politykę". Poczem opisawszy mię co do wyglądu i stroju, oddał mię odźwiernemu Kapralowi, który zaraz klucze

poprowadził mię pod № 17½. Izba ta leży pierwsza z prawej ręki przy wejściu od Siedlińca w północno-wschodnim kącie. Wnadziwszy do izby ujrzałem w jéj wnętrzu około 20 ludzi pracujących w wojskowych strojach (Byli to jeńcy rosyjscy na różne przedrobienia skazani; otóż bowiem wojskowych nawet na ulepsze sądy cywilne nie miały prawa sądzić, tylko każde przedrobienie czy zbrodnia wojskowego należały do kompetencyi sądów wojennych). Jedni siedzieli, inni się przechadzali. Byłem teraz ich współwięźniem. — Stanąłem nieśmiało, otem przybiega do mnie chudy, wysoki mój rodowy, wyciąga rękę ku mnie: „jak się masz bracie? a skąd przybywasz? a za co cię tu przysłali?" — ale otem [redacted] przechodzący się porucznik po Kalmi z więźniem stojącym z fajką na ulicznym rynsztunku ordynarnych, miał skłonność na ucho a drugą na nos i tamtemu przeciągnięty od wczoraj ręki, z wejrzenia porucznika, wyglądającego na około 50 lat, przystępuję i mówię: „Panie! ani słowa, nie wiem, pomimo jestem ludźmi jesteś, idź" i usiądź sobie na przypy", a odwróciwszy się do mojego napastnika, powiedział mu: „A ty przeklęty Niemczyk! jak się nazywasz?, wyjęcia mnie od niego, bo jak się co na ciebie jeszcze wyda, to gwałtów nie pobierasz!" i puścił go odemnie (Człowiek ten nazywał się Władysław Bielawski, pochodzenia mazowieckiego z Radomia. Historyę jego życia dość ciekawą znajdą czytelnicy na dalszym kartkach niniejszego opowiadania[1]) — Wtem przystąpił do mnie młody oficer wojskowy, a wziąwszy pod ramię poradził obok siebie na przody i powiedział: „Widzisz obok mojego siedzenia jest drugie nie zajęte, to będziesz mógł spać" (towarzyszem spania). Potem mię raczył chlebem i tytoniem a wreszcie dał mi swoją czystą bieliznę i radził mi się przebrać, mówiąc: jutro dostaniesz bieliznę, a tymczasem swoją wrzejmij, bo zobaczysz wszy się zagnieżdżą, to się ją da do parzki. — Zacny ten kolega nazywał się Wincenty Tarka i był ze wsi Kościelec koło Krakowa, gdzie według legendy święty Jacek stłuczone gradem zboże cudownie wskrzesił. — Rozstaliśmy się razem ci on coś po 6 tygodniach został uwolniony. Rozstaliśmy się prawie z płaczem, takeśmy się do siebie w tym czasie przywiązali.

Niestety po kilku latach dowiedziałem się, że mam-
mieć im Pan Bóg za wieczność zrepilizować. –

Jak zostałem mimowoli obywatelem Królewskiego
Zamku!

Teraz rozglądnijmy się po izbie. Jedno okno
zakratowane o dwóch skrzydłach, zabite od dołu
w mętnej połowie kozłem z desek, od strony
zachodniej na dziedziniec wyglądające. Na
jednem skrzydle mogło siedzieć dwóch ludzi
i spoglądać przez wierzbite szyby, ale gdy
kapral odźwierny był humorzasty, to nie pozwalał.
Mury zamku grube, wprost okna była w ścianie
framuga, w której stał stół i kilku ludzi
mogło na ławkach obsiąść. Poprzed inne
3 ściany stały długie pryczę, na których
leżały siennniki po dwa koło siebie. Nad
pryczami były półki, a pod tymi drewnia-
ne kołki do wieszania odzieży. Na środkowej
stał piec okrągły żelazny do ogrzewania izby
w zimie. Przy progu kibel z nakryciem,
w dwóch uszach i drągiem do wynoszenia
dwa razy na dobę, rano i wieczór

Teraz wypada coś wspomnieć o kapralach odwiernych. Ci byli przeważnie zwykle po dwóch na miesiąc. Ich obowiązkiem było pilnować ażeby porządek był w karniach, wypuszczać dwa razy dziennie więźniów na spacer, załatwiać ich sprawunki do miasta przez ordynansa, odprowadzać do sądu i przyprowadzać po przesłuchaniu, ~~itd~~ zgoła wszystko co pod tym względem wypadało - należało do nich. Byli to kaprale lub ~~lub~~ fircery od stojącego tam pułku ~~k~~ mendelowani. - Zwykle po miesiącu tej służby odwoływali ich i nasyłali innych; zdarzało się jednak, że niektóry był i przez parę miesięcy, a nawet jednego z nich już z chwilą mego oddania pod aresztowanie w karni zastałem i po dziewięciomiesięcznym pobycie zostawiłem jeszcze na tem stanowisku, tylko z tym czasie miał coś dwumiesięczną przerwę. Był to kapral dość szczupłej postawy z świecącemi jak żmija oczami, a pochodził z tak zwanych „Deutsch-Böhmów". To byli najwięksi kanciwoły, a właśnie surowe i grubiańskie obchodzenie się z więźniami załatwiało takim dłużej pobyt na tem stanowisku. Ten galgan nie pozwolił w okno spojrzeć; jeżeli który podszedł do okna i chciał się popatrzeć na dziedziniec, gdzie wciąż wojsko robiło obroty, i przez niezabitą u góry kwaterę okna natenczas paraz krzyczał z gardła przed kancelaryą profosa, gdzie zwykle stawał: „herunter!" - a gdy się więźniu nie śpieszył, pędził z kluczami do karni - .

Jeżeli zaś podoficer ~~z~~ odwierny był rodowity niemiec lub polak, to już był ludzki. Wszystkie zaś Deutschböhmy i ruscy to byli skończone łajdaki. O tamtym jeszcze tyle teraz wspomnę, że sam prosił, ażeby był mianowany do wymierzania plag - bicia kijem skazanych - po jednej razowej ale próbie, co mu czynił rozkosz dziką, zaniechali go jednak za niezdolnego w tym fachu i odebrali mu ten rozrzyt, o jaki się tak gorliwie ubiegał. - Po mnie przy. byciu na zamek oprócz tego był drugi Kapral odwierny, niemiec rodowity, nie rozumiejący ani słowa po polsku. Co to

/.

BJ

była za duża. Z każdym więźniem obchodził się po kolegjalnie; jak przyszedł do kaźni to żartował i przewracał się z więźniami – jak (wróżone więźniom) nasze chłopaki – odrzuciwszy zaś drzwi kaźni otwarte rostawiał i nie obawiał się, żeby mu który z więzienia uciekł. W oknie siedzieliśmy dowolnie, nie zabraniał. – Każdego upreszał, jeżeli coś wiedział względem niego, pp. powołanie do przesłuchania, uwolnienie, czas wykonania kary i t.p. – W kilkanaście dni po moim przybyciu siedziałem w oknie po południu i spoglądałem na dziedziniec, a ten szedł z miasta, dojrzał mię, już nie wytrzymał aż przyjdzie do kaźni, tylko woła na zgłos: „Kurat! Ihr Herr Graf Tarnowski hat Ihren geschickt Zehn Gulden, ein Paar Stiefel, zwei Hemde und zwei Paar Gatten. Es ist alles in Platzkomando morgen werden Sie alles bekommen?" (Kurat! Wan hrabia Tarnowski przysłał wam na Reckomendę 10 złr., parę butów, dwie koszul i dwoje „gaci" – jutro wszystko dostaniecie). Jakki to był poczciwiec, choć z innego narodu; każdemu starał się niejako osłodzić jego położenie – niech mu Pan Bóg da wielkie szczęście, jeżeli żyje. Szkoda tylko, żem sobie nie zapamiętał jego nazwiska – a po mieniącu już go odwołali i więcej go nie widzieliśmy – – Nazajutrz z rana profos zawezwał mię do kancelaryi i powiedział mi, że hrabia Stanisław Tarnowski przysłał mi 10 złr. które są u niego i po parę „różtek" mogę dostawać na lepsze pożywienie, zaś co się tyczy tamtych rzeczy, to dał mi dwie koszul, jedno stare kobiece majtki za te dwoje „gaci" – a buty całkiem przepadły. – Dopominać się nie mogłem, bom nie miał dowodu prócz tego co mi kapral powiedział – a jego nie chciałem kompromitować.